

Kogo skarcić za Holdysa

„Obiecałem Jankowi Lityńskiemu, że opowiem o tym, co naprawdę działo się w Polsce w 1981 roku, co działo się w stanie wojennym, co dzieje się teraz.

Jesteśmy oficjalnym zespołem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” i robimy to.

Nie macie wyjścia, musicie przyjść” — Z. Holdys.

★ ★ ★

Przyznam szczerze, że ta swoista niby-reklama, niby deklaracja ideowa, obliczona zapewne na sentymenty najnowszej emigracji solidarnościowej, odrzuciła mnie.

Dlaczego? Otóż aż za dobrze pamiętam tamte czasy i niczego mi przypominać nie trzeba, a poza tym uważam, że mieszanie rocka z polityką zbyt często owocuje sloganowym banałem (por. J. Lennon i jego „gazetowy” „Sometimes in NYC”). Być może jednak Zbyszek Holdys nie może się jeszcze otrząsnąć z roli męczennika Nr 1 PRL-owskiego rocka zmagającego się od lat z cenzurą, sytuacjami, układami, totalną niemowością i Bóg wie czym jeszcze. Jest jednak rok 1990-ty a nie 80-ty, nikt już się chyba na serio nie boi Jaruzelskiego, cenzura i partia dogorywają, coraz trudniej znaleźć ZOMO do bicia — i co teraz, kiedy nareszcie można być sobą? Co dalej z Perfectem?

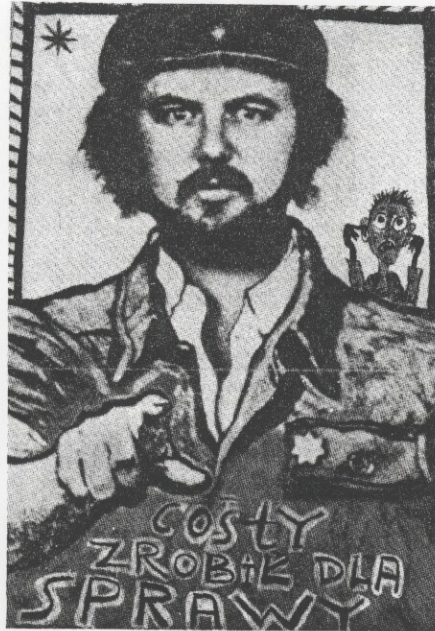
Niewiele mogą Ci dać

Próżno było szukać ich odpowiedzi na koncercie. Z wielu powodów zapewne. Wiem, rozumiem, nie takie były założenia tej trasy. To jest Ameryka — tu trzeba sprzedawać hity, nawet te stare, przykurzone, tego przecież oczekuje publiczność, która przyszła na spotkanie ze swymi wspomnieniami, nostalgia jest w modzie — kończy się przecież dekada, pora na podsumowanie itp. Ale mnie brakowało czegoś nowego, powiewu świeżości. Na rezultaty nocnych penetracji nowojorskiego klubowego undergroundu przyjdzie może jeszcze trochę poczekać. Przetrawione zaowocują nową muzyką, już po powrocie do Polski. W końcu Ameryka to nie tylko Madonna i New Kids in the Block, i tu można się czegoś nauczyć, jeśli się chce. I ma się za co — to już jednak zupełnie inna historia. A zatem pozostaje cierpliwie czekać do następnej wizyty w Stanach!

Ale w kolo jest wesoło

Sala Copernicus Center stanowi typowy przykład wersji architektonicznej amerykańskiego tygla czyli pomieszanie z poplątaniem albo jak kto woli skrzyżowanie Sali Kongresowej niesławnego pałacu Stalina z chorzowskim Planetarium i Teatrem Słowackiego w Krakowie.

W ów sobotni wieczór zapelniała ją publiczność tak urozmaicona, że mogłaby stanowić doskonale reprezentatywną próbkę polonijnej społeczności — wdzięczny obiekt dociekań socjologa. Kogoż tu nie było? Wakacjusze, turyści, stara i nowa emigracja, chłopaki od kontraktora, panienki z domów i panie z serwisów sprzątających, młodzi, prężni przedstawiciele biznesów polonijnych z Jackowa i ich punkowe pojęchy. W gronie tym zabłąkała się nawet babcia —



weteranka Związku Narodowego Polskiego i Kongresu Polonii, która przybyła tu zapewne z patriotycznego obowiązku i dzielnie wytrwała do połowy koncertu.

Przody, pod sceną, zajęła rozpuszczona amerykańskim dobrobytem młodzież, w wieku niewiele przekraczającym wykonywany repertuar, nie władająca poprawnie żadnym z dwu znanych języków.

Dalej zasiedli brodaci weterani solidarnościowej konspiracyj, co niektórzy z dzieciakami na ramionach, przepłatając się w rzędach z nobliwymi paniami służącymi, które wyrwawszy się w czasie weekendu ze swych luksusowych więzień na przedmieściach, pomyliły chyba (sądząc z kreacji i reakcji na muzykę) koncert rockowy z dancinikiem w „Astorii”.

Całe towarzystwo w atmosferze pikniku, obżerając się prażoną kukurydzą i popijając colą cierpliwie czekało na rozpoczęcie imprezy. Co bardziej obrotni nie marnowali czasu poprawiając swój humor w obficie zaopatrzonym barze na zapleczu. A swoją drogą ciekaw jestem jakby to wyglądało w naszych krajowych warunkach — przy tak relatywnie niskiej cenie drinków i piwa.

Jak na gwiazdę przystało Perfect zaczął z półgodzinnym postlizgiem. Na scenę wdrapał się sam szef, którego gdyby nie nieodłączna czapeczka, broda i okulary zapewne pomyliłbym z Demisem Roussosem lub co najmniej z byłym naczelnym NS. Po protekcyjnym wstępie — „Za ile się teraz robi u Żyda? 4,5? Nieźle. Ja też to znam. Zaczynałem w fabryczce w 76 r. za 2 \$ na godzinę”, zaczęli grać. Na pierwszy ogień poszły stare kawałki — „Bazancie życie”, „Ale w kolo jest wesoło”. Być może był to ukłon w stronę kolegi, dawnego Perfekciarza — Sygita, który zasiadł w jednym z pierwszych rzędów. Niestety nie było mu dane porównać swoich wersji utworów z ich wykonaniem przez Jacka Krzaklewskiego — po kilku pierwszych taktach wyskoczył jak wkurzony szop i zniknął gdzieś na tyłach sali. Nie wiem co go tak poruszyło czy to, że miał pecha i usiadł w samym oku cyklonu punkowej zadymy, czy gryzące wspomnienia dawnej sławy skonfrontowane z obecną rzeczywistością, czy też zwyczajnie i prozaicznie — obowiązki w kapeli Wan-

dera wyganiające go ze względu na późną sobotnią porę do „Cardinalu”.

Na szczęście wbrew afiszowemu zapowiedziom, opowieści Zbyszka ograniczyły się do pozdrowień starszej publiczności w imieniu Bujaka i Janasa oraz kilku drobnych komentarzy do utworów „Idol” i „Nie patrz jak ja tańczę”. Przeważała więc muzyka i tekst — często równie istotny dlatego akcentowany wyraźnie przez Holdysa, który mimo że nie jest rasowym wokalistą umiejętnie korzysta z tych możliwości głosowych jakie posiada. Forma muzyków nie była chyba najwyższa. Prawdą jest, że Perfect nie był nigdy zespołem wirtuozów — w jego obecnej, trzeciej już chyba edycji wyraźnie wybijającą się osobowością jest Mietek Jurecki. Z krótkich czterech popisów solowych jego granie utkwiło mi najbardziej w pamięci. Zespół przesadził chyba z ilością utworów (ok. 30), co odbiło się na ich jakości — częstokroć trudno je było rozróżnić, co najwyżej po zmianie tempa i słowach. Najbardziej przy tym wypadły kawałki najstarsze, najlepiej najnowsze — ale to chyba normalne.

Nie wiem też dlaczego wyjątkowy pech prześladował Zbyszka, któremu struny trzaskaly jak nici, tak, że obsługa techniczna nie mogła nadażyć z zamianą gitar (nie miał ich zresztą tak wiele — tylko dwie). Inna sprawa, że przy okazji wyszło ile wnosi jego instrument do brzmienia grupy — niestety niewiele.

Niemalby wpływ na przebieg koncertu miało zachowanie się amerykańskich organizatorów, toczących nieustanne boje i pertraktacje z szalejącą pod sceną i wdrapującą się na kolumny podchmieloną dziatwą. Stąd niepotrzebne przerwy i pyskówki.

W pewnej chwili zespół przestał nawet grać a Zbyszek ze stoickim spokojem i opanowaniem zapytał — „No i jak ty się gnoj do mnie odzywasz?” (w odpowiedzi na zaczepkę — „Hej ty tam zagraj mi coś”). Po czym zupełnie zniszczył małolata-pijacka nieoczekiwanym zaproszeniem na scenę — „Proszę, chodź tutaj, pokaż ludziom swoją twarz”.

Niektórzy powiadają, że Chicago to największa polska prowincja na świecie i jest w tym chyba sporo racji. Ja w każdym razie czułem się cokolwiek groteskowo mając po jednej stronie dwóch kontraktorów przekrzykujących muzykę w zażartej dyskusji o zaletach aluminiowych sidingów, a po drugiej panie kiwające się á la Kolobrzeg. Miałem dwa wyjścia — przejść do przodu, między rzędy pod scenę ryzykując zetknięcie z tłumem bynajmniej nie tangiem opętany albo wycofać się bezpiecznie na tyły do opustoszałego już baru.

Wybrałem trzecie — wytrzymałem do końca, nawet z bisem i mimo że żywy stąd nie wyjdzie nikt — ja jakoś uszedłem. Znamienne były słowa Zbyszka wypowiedziane na zakończenie — „Do zobaczenia — może kiedyś w Polsce. Nie kompromitujcie siebie i nas, życie tu godnie”.



MURKUR TOTALIŠMUS KUNST IYND MUSICOI

lecz mersky

PERFECT W CHICAGO ★★ ★!

W hallu za to czekała niespodzianka. Zdążyłem „złapać się” na ostatni compact disc Perfectu. Szyły jak woda po tułej, bynajmniej nie dumpingowej cenie — 15 \$ sztuka. Powiało rzeczywiście wielkim światem z Polski.

Jeszcze nie umarłem

Mimo prawie 3 godzin muzyki czułem wyraźny niedosyt. Intuicja nakazywała mi udać się do „Cardinalu”. To w końcu jedyny sensowny polski lokal w okolicy, przypominający mi swą atmosferą dawne dobre, studenckie czasy, a poza tym grał Sygit. Jeżeli chciał się spotkać z kolegami, mogło to nastąpić tylko tam.

I rzeczywiście nie pomyliłem się, chociaż cierpliwość moja została wystawiona na długą próbę.

Po drodze musiałem wysłuchać produkcji zapomnianego już chyba w Polsce Staszka Guzka vel Stana Borysa, tutejszą gwiazdę Polonii. Przyznać muszę, że mimo upływu lat i typowego amerykańskiego, bynajmniej nieoszczędnego trybu życia, facet ten zachował znakomity głos. Przypominał stare protest-songi. „Jaskółka uwięziona” czy „To ziemia” zabrzmiały wspaniale. Nie zabrakło oczywiście sztandarowego, Norwidowskiego „Jak z drzazgi smolnej...” śpiewanego w stylu dorównującym niegdyśiejszym interpretacjom Niemenowskim. Szkoda, że ten niewątpliwie wspaniały utwór został tak niemilosierdzie wyeksploatowany przez swego wykonawcę, śpiewającego go przy różnych okazjach od kościoła Św. Jacka, w czasie uroczystości żałobnych pamięci ks. Popieluszki, poprzez koncerty charytatywne KPA do „Cardinalu”, a więc było nie było, dobrej, ale knajpy.

Mimo kilku zapowiedzi Wł. Wandera, zaproszeni goście z Polski nie pojawili się. Nie pozostawało więc nic innego jak przyjąć zaproszenie do tańca i bawić się. Tym bardziej, że zespół kierowany przez niegdyśiejszego big-beatowca Włodka Wandera ma w swym składzie takie asy jak Andrzej Dylewski (eks. Mech, Lady Pank) czy wspomniany już Sygit. Śpiewali na zmianę Borys oraz jedyny Jankes w Wander Band, ugrzeczniiony i słodziutki Paul Bolger.

Nareszcie nad ranem pojawili się długo oczekiwani goście, na czele z bossem w długiej czarnej skórce. Boss zasiadł przy jednym stoliku w gronie nieznanym mi bliżej nobliwych osób, reszta chłopaków przy drugim. Oczywiście o właściwe przyjęcie całego towarzystwa, troskliwie jak na gospodarza przystało, zadbał właściciel lokalu — Włodek Wander.

Ze sceny zaś popłynęły dźwięki ulubionego kawalka Sygita — Riders Of The Storm — Doorsów, już po raz trzeci tego wieczoru, tym razem ze skutkiem, dedykowane kolegom z Perfectu. I zaczął się najwspanialszy kwadrans muzyki, którzy bywalcy Cardinalu zapamiętają na długo.

Najpierw Sygit pokazał swej byłej zwierchności, że nie zapomniał grać rocka. Dwoił się i troił ze swoją śmiesznie małą jak zabawka gitarą. Przecierałem oczy ze zdziwienia, ten smętny na co dzień gość w kapeluszu, z petem w zębach, przytupujący w rytmie disco i podśpiewujący w chórkach z Majką Jeżowską „Boys, Boys, Boys” Sabriny obudził się na chwilę z klezmerskiego letargu.

Zagrał parę odjazdowych solówek, gdy zza konsoly rozległ się głos Wandera

— basista proszony na scenę. Niespodzianka, zaskoczenie. Mietek Jurecki z pewnym ociąganiem ruszył w stronę podium, gdzie już czekał na niego wyciągnięty z lamusa tradycyjny bas, zupełnie niepodobny do instrumentu używanego przez niego na co dzień. Ale co klasa to klasa, prawdziwy mistrz zagra zawsze na poziomie poniżej którego nie schodzi nigdy. Nawet po wielogodzinnej męczącej podróży, koncertowym młynie i nie przespanej nocy.

Przysiadłszy z boku na kolumnie pozwolił wchodzić w akordy standardu znanego wszystkim. Z początku niepewnie, zgrywając się z resztą muzyków, co nie było chyba takie trudne dla starych wyjadaczy rocka, potem coraz śmielej, by wreszcie zdominować wszystkich hipnotycznie pulsującym rytmem swego basu.

I znowu zapowiedź Wandera — prosimy gitarzystę. Krzaklewski z pewnym trudem ubrał małą gitarę Sigita na kurtkę, której nie zdążył nawet z siebie zrzucić, palce pobłądziły po gryfie rozpoznając instrument, ale już po chwili z uśmiechem mówiącym „odkryłem” dołączył do reszty.

Zaczął się wielkie granie. Zespół skompletowany ad hoc coraz bardziej odjeżdżał od wyjściowego rockowego schematu, żeglując w stronę funky, z którego za sprawą P. Bolgera wyklúło się w pewnym momencie Superstition S. Wandera.

Nawet stary weteran Wander nie wytrzymał. Dołączył do nich dmąc w saksofon ile sił. Nie był to ten sam nonszalancki playboy Włodek, który co wieczór chrypi do mikrofonu swój nieśmiertelny przebój — „To była blondynka”.

Jam kończył się w opętającym rytmie wzajemnie przeplatających się solówek, doprowadzając tańczących na parkiecie do totalnego znoju.

I jeszcze tylko wzajemne podziękowania, pora uciekać — jutro następny koncert w odległym Detroit, a tu 4⁰⁰ rano i nadal w Chicago. Szkoda, że nie na dłużej.

Przy wyjściu złapałem na parę słów Mietka Jureckiego, gratuluję wspaniałej

gry. Jest trochę zażenowany, narzeka na przedpotopowy twardy instrument, żaluje, że nie wziął swej gitary z auta. Skromność a zarazem świadomość swej wartości. W ubiegłym roku widziałem na scenie słynnego Tonny Levina z gwiazdami byłego Yes, grał nawet chyba na takiej samej gitarze z krótkim gryfem jak Mietek — nie uważam by był lepszy.

Wracam na salę, przechodząc obok konsoly słyszę Borysa zagadującego do Wandera — Włodek, dawno nie widziałem cię tak podekscytowanego. — To ten chłopak był niesamowity — (o Jurekim) — pada odpowiedź.

Zbyszku, przywiozłeś perłę w diademie Perfectu, jest nadzieja, że z takim rock w Polsce nie umrze i potoczy się dalej jak stalowe koła.

Dziękuję,
JUREK JÓZEF CZYK

